NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.
Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. Kraków, 7 listopada 1914. Nr. 45.

W Krzysztoforach.

(Treść na str. 6).



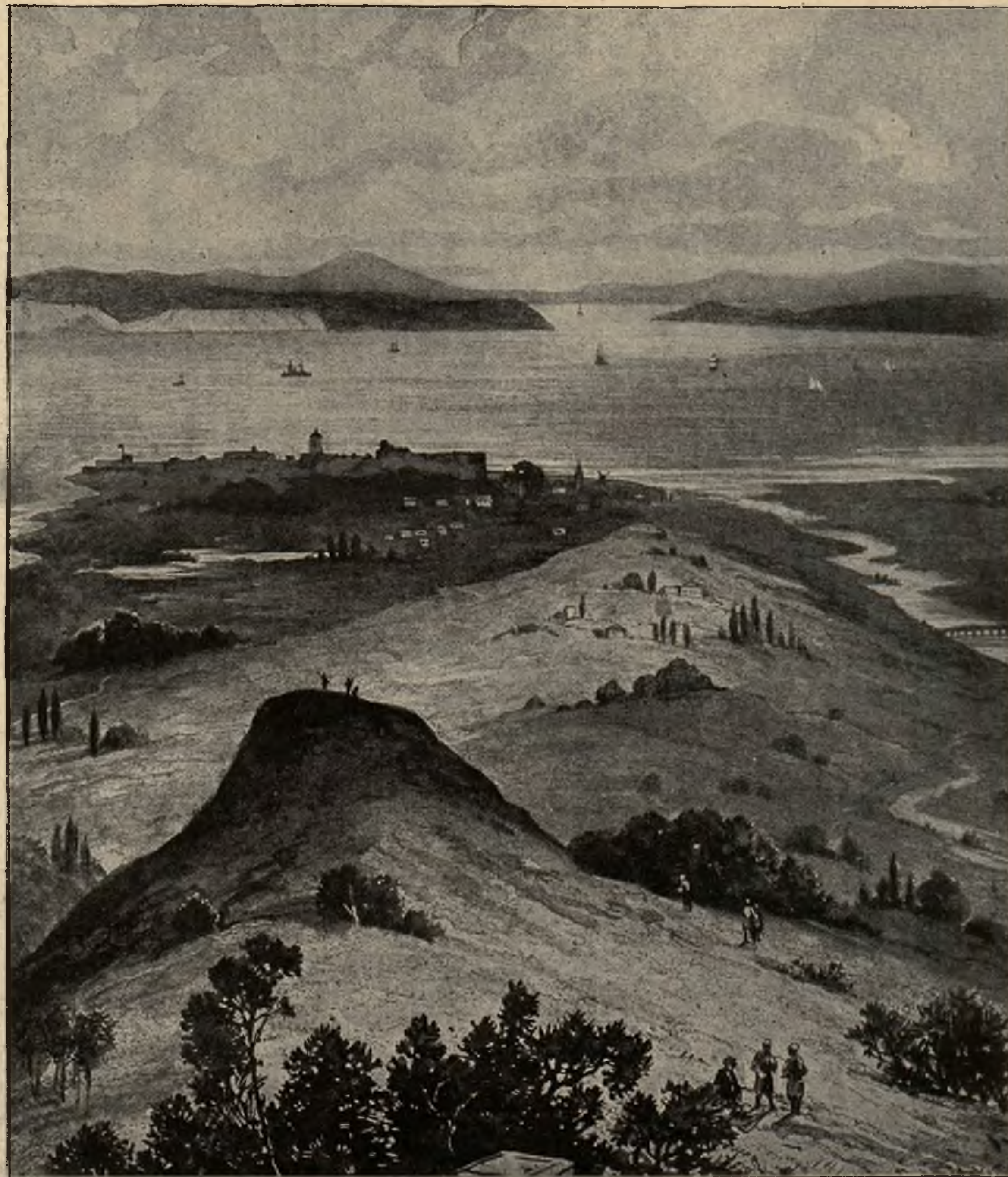
Dwunasta wojna.

Pożoga wojenna, jaka ogarnęła obecnie świat cały, zapala potrochu coraz to inne ogniska, gdzie od lat nagromadził się materyał wybuchowy, eksplodujący od lada iskry. Iskra taka pada obecnie na Bałkan, zawsze wrzący a ostatnio płonący stale i przygasający tylko chwilowo. Nie wiadomo obecnie, czy nową wojnę Turcyi z Rosyą spowodowały zabiegi dyplomacyi, czy też wola i ochota Porty, uznającej tę chwilę za odpowiednią do porachunków z największymi jej wrogami — Moskwą i Albionem, dość, że wybuchła i to niespodzianie. Do straszliwej, od trzech miesięcy już trwającej wojny Europy środkowej z zachodnimi i wschodnimi sąsiadami, przybywa obecnie dwunasta z rzędu, a w przebiegu pewnie równa wszystkim poprzednim razem „święta wojna“ Islamu z wrogimi mu giaurami. Wojna to rozpętująca najgroźniejsze elementy, bo wiarę, narodowość i rasę w spokojnych dotychczas częściach ziemi. Anglia sprowokowała wojnę europejską, ona nadała jej ten wszechświatowy charakter, poruszając wszystkie ludy i kraje pośrednio i bezpośrednio podległe jej, ale też i broń przez nią użyta poczyna się przeciw niej obracać, aktorzy, puszczeni w ruch, wymykają się z rąk reżyseryi, a gotują się grać na własną rękę i ku jej szkodzie.

Wojna dwóch starych potencyi Wschodu, Turcyi i Rosyi, nie jest niespodzianką, lecz moment jej wybuchu prawie że zaskoczył wszystkich. Zaczęła ją Turcya, ale właściwie flota czarnomorska rosyjska. Dyplomacya rosyjska chciała nadchytrze zagwoździć Turcyę od morza, blokując jej Bosfor, bez wypowiedzenia wojny, nawet półoficyalnego. Zaczęto od strzałów, bezpośrednio i Europa stanęła od razu wobec *fait accompli*. Widownią tej wojny, tak po azyatycku zaczętej, będzie pogranicze Azyi i Europy, a może ona wciągnąć w swój krąg także i resztę Bałkanu oraz olbrzymią część Azyi i Afryki.

Przy ogólno-europejskiej likwidacyi tarć, antagonizmów i intryg rade też i ludy Azyi uregulować swe sprawy polityczne z „dziedzicznymi“ wrogami. Odwykliśmy od dawna od podobnego wyrównania interesów, którego giełdami będą pola bitew a jednostkami wymiany, kule i granaty.

Skoalizowane trójporozumienie, liczące obecnie aż siedmiu sojuszników, stworzyło tak dla Austryi i Niemiec na północy, jak i Turcyi na południu, sztuczne osamotnienie, dlatego też musiała ta ostatnia



Dwunasta wojna: Jabłko odwiecznej niezgody Turcyi z Rosyą — cieśnina Dardanelska.



Dwunasta wojna: Rosyjska flota czarnomorska.

oprzeć się o dwóch wiernych sprzymierzeńców, do których ciągnęła ją obok interesu, sympatya. Instynkt samozachowawczy Porty wskazał jej obecnie czynne wystąpienie w obronie przeciw rozbiciu przez Rosyę, na podobieństwo Persyi. Początek datuje się od klęski floty rosyjskiej, której eskadra turecka zatopiła dwa statki pancerne: okręt „Prut“ o pojemności 5.000 ton i 1.100 tonnową kanonierkę „Kubanec“. „Prut“ wiózł 700 min dla blokady wybrzeży tureckich i zginął od torpedy podobnie jak „Kubanec“; dzielny kontrtorpedowiec turecki, „Gehsinet i Mille“ wyrzucił na nią kilka celnych pocisków torpedowych, zatapiając nadto jeszcze jeden okręt rosyjskiej straży nadbrzeżnej.

Walka rozpoczęła się opodal Bosforu, początek dali Rosyanie, ostrzeliwując turecką flotę, która wyjechała dla ćwiczeń na morze Czarne.

Następstwem porażki Rosyan był pościg rozbitej eskadry rosyjskiej, przyczem jeden z jej okrętów węglowych dostał się do niewoli tureckiej, a nadto ostrzeliwanie przez pancerniki tureckie portów Teodozyi na Krymie i Noworosyjska, leżącego na półwyspie, zamykającym wejście do morza Azowskiego.



Z wojny: Wybuch min morskich

Według komentarza dyplomacyi rosyjskiej genezą wojny było zamknięcie Dardanelów, a przez to pozbawienie Rosyi dowozu z zewnątrz, istotnie zaś, zdaje się, spowodowały ją ustawiczne prowokacye rosyjskie. „Chory człowiek“, jak Turcyę nazywają w Rosyi, dał znak życia i to dość energicznie, a obecnie Rosya musi się liczyć z zaszłemi następstwami, które są groźne dla całego splotu obecnych jej sprzymierzeńców. Powstająca Turcya to pięćset milionów świata muzułmańskiego od wód chińskich po Atlantyk, to wielkie niebezpieczeństwo półksiężyca dla wszystkich, co jego blask zmniejszali, urywając mu raz wraz podległe ziemie i ludy.

Anglia ma pod sobą do dwustu milionów mahometan, Egipt prawie cały muzułmański, bo z $11^1/_2$ mil. jego ludności, $10^1/_2$ jest mahometan, w Indyach wschodnich żyje ich około 65 mil. i we wszystkich koloniach, odebranych Porcie, stanowią oni znaczny odsetek a wszędzie są dla Anglii elementem nieprzejednanym, pamiętającym cięgi i wyzysk oraz różnice szczepowe i narodowe.

Francya w Algierze ma $4^1/_2$ mil. poddanych muzułmańskich, w Tunisie do dwóch mil. a w Marokku około 6 mil.

W Rosyi dochodzi liczba wyznawców Islamu do 14 mil. a Persya liczy ich do 8 mil. (Szyitów).

Gdyby więc Turcyi udało się poruszyć ten olbrzymi świat islamski, pobudzić znany jego fanatyzm i chęć walki ze znienawidzonymi giaurami, to tocząca się wojna przybrałaby odmienny charakter a sprzymierzeńcom trójporozumienia przyniosłaby niepowetowane straty w najdrażliwszych punktach bo w koloniach.



Z wojny: Belgijski fort Wavre St. Cathérine pod Antwerpią, rozbity przez ciężką artyleryę niemiecką.

Z wojny.

Mimo przeciągających się już długo, ponad oczekiwanie i zda się wytrzymałość ludzką — gigantycznych zapasów dwóch olbrzymich bitew w Belgii Francyi i Polsce, rozstrzygający moment nie nastąpił. Pomniejsze starcia, kończące się odparciem gdzieś ataku albo wolnem posunięciem się naprzód, nie dały żadnej ze stron wygranej, mogącej decydować o całości, albo nawet pewnej jej części. Na dwóch olbrzymich frontach, na zachodzie od Ostendy aż do Belfortu, na wschodzie zaś od Augustowa do Turki, toczą się homeryckie bitwy ze zmiennem szczęściem, ale bez rezultatu. Jedno jest pewne i widoczne to moralne, a także i faktyczne zwycięstwo wojsk austryacko-niemieckich. Mając przeciw sobie



Dwunasta wojna: Bohater turecki Enver-bej.



Z wojny: Rozbita wieża pancerna w twierdzy Maubege.



Z wojny: Generał-pułkownik v. Heeringen, jeden z dowódców zwycięzkiej armii niemieckiej na terenie zachodnim.

na obu frontach masy, jakich nie znają historye wszystkich wojen, armie Austryi i Niemiec zatamowały granitowym murem te powodzie ludów różnych ras, wyznań i szczepów i nie tylko zatamowały, ale je odparły i zwycięsko nieraz już pobiły.

Sam już opór, jaki wojska te stawiły milionowym armiom we Francyi i Polsce, równałby się zwycięstwu, a zwiększają je i uświetniają wspaniałe wiktorye w Belgii, Alzacyi, Prusach Wschodnich, Galicyi i na Węgrzech. Zwycięstwa te są tem większe, że dokonane własnemi siłami armii europejskich, bez pomocy dzikich wojsk wschodu i południa. Walczące „w imię kultury“, Anglia i Rosya, posiłkują się masami dzikich hord azyatyckich i Afryki, przeciw którym staje do bitwy Europejczyk, zbrojny o jedno jeszcze doświadczenie o perfidności Moskwy i Albionu.

Los sprzyja naszym armiom, bo, mimo reklamy biur angielskich i rosyjskich, prawdziwe wieści głoszą więcej po naszej stronie sukcesów, a zwroty nasze taktyczne, podejmowane dla lepszego złamania



Z wojny: Dom w Berchem, przedmieścia Antwerpii, zburzony granatem.

czterokrotnie większego nieprzyjaciela, rozdymają oni do rozmiarów zwycięstw.

Ostatnio znów ponieśli Rosyanie znaczną klęskę pod Turką, gdzie wszelkie ich usiłowania odparcia ofenzywy wojsk austryackich zakończyły się sromotną porażką ich wojsk. Zwycięstwo to ważne jest bardzo dla wojsk naszych, bo przez nie zagrożone zostały na tyłach i flance wojska rosyjskie na linii Stary Sambor—Medyka. Rosyanie bronili swych pozycyj z furyą i olbrzymiemi masami słali piechotę. Nie oparła się ona jednak atakowi wojsk austryackich, pierzchając w popłochu za rzekę Stryj, na której zburzyła po przejściu most. W ten sposób upadły zamiary rosyjskiej nowej dywersyi na Węgry, a front ich za Przemyślem łamie się coraz bardziej.

W Belgii zdobywają wojska niemieckie kilometr po kilometrze w najstraszliwszych bitwach. Z innych miejsc zachodniego frontu, ciągnącego się 660 klm., nie notują ostatnio nic szczególnego. Pasya Belgów udzieliła się sztabowi angielskiemu, w walkach nad Izerą stracili oni tysiące Hindusów bezowocnie.



Z wojny: Belgijska milicya w walkach ulicznych w chwili upadku Antwerpii.

Wojska niemieckie, okopawszy się na całej linii, nie ustępują ani na krok, a owszem powoli, lecz systematycznie posuwają się naprzód.

Decydujące zwycięstwa nie nastąpią pewnie wkrótce, choć, jak donoszą, ostatnio furya wojsk koalicyjnych słabnie, a zwycięskie szeregi niemieckie zbliżają się coraz bardziej do Toul i Verdun.



Dwunasta wojna: Liniowe korpusy z Małej Azyi przybywają do Konstantynopola.

WILLIAM THOMPSON.

FATALNA BLIZNA.

Z TAJEMNIC NOWEGO-JORKU.

(Z angielskiego).

9

Wysoki, rosły mężczyzna w automobilowym płaszczu i czapce głęboko nasuniętej na oczy, mierzył szerokimi krokami obszerny pokój umeblowany jak elegancki gabinet.

Wreszcie zatrzymał się i grzmotnął w biurko pięścią.

— Co za energia, co za niespożyta siła woli! Ha! wolałbym ja inną drogą zdobywać Allice i jej miliony, ale trudno, sama mi tę drogę odjęła. I to dla kogo! Dla tego pięknisia Larkinsa, który nawet na tem poznać się nie umie, że mu na miejsce jego żywej jak iskra Allice podstawiono tę mazgajowatą melancholiczkę... Ale! Allice uledz musi, a wtedy zabiorę ją i miliony i udam się do Południowych Stanów... Niech mnie tam szukają.

ROZDZIAŁ XIV

„List haftowany".

Pani Larinson-Peach powróciwszy ze swej zamiejskiej wycieczki, tego samego jeszcze wieczoru napisała do Percy'ego Briggera wonny różowy bilecik, zawierający następujące słowa:

„Panie Percy! Oczekuj mnie pan jutro o 11-ej przed południem przy Obelisku. Przyjadę konno. Znalazłam coś bardzo ważnego.

N. L. P."

Pani Nelly, nie dowierzając służbie, rzuciła ten list własnoręcznie do skrzynki.

Przez cały wieczór była tak ożywiona i w takim niezwykle dobrym humorze, że to znowu dało dobrodusznemu sportsmenowi sposobność do wypowiedzenia opinii, że „Nelly ma ćwieka".

* *
*

Następnego dnia o umówionej godzinie Percy Brigger na pięknym karym rumaku zaczął krążyć koło Obelisku.

Nagle posłyszał srebrzysty głosik pani Larinson-Peach:

— Dzień dobry, panie Brigger! Jak widzę, pan pogrążony w rozpamiętywaniu zabytków egipskiej starożytności?

Brigger zdjął kapelusz i ukłonił się.

— Niech pan pogalopuje ze mną trochę dalej — trzepała prędko mała kobietka — Mój mąż krąży tu gdzieś w blizkości, a ja tymczasem chciałabym panu pokazać pewne hieroglify, które pana więcej napewno zaciekawią niż egipskie. Ale myśmy spotkali się przypadkiem, tylko przypadkiem, rozumie pan?... Ach! te śliczne białe łabędzie! Podjedźmy ku jezioru, chcę rzucić łabędziom kilka bułek.

Percy i pani Larinson-Peach zwrócili swoje konie ku niewielkiemu jeziorku, po którem pływały piękne łabędzie. Chwilę przyglądali się śnieżystym ptakom z uwagą, poczem pani Nelly zwróciła się do swego towarzysza z uśmiechem:

— Percy, czy pan nie zauważył mojej odznaki?

— Owszem, chciałem właśnie zapytać, co oznacza ta czerwona wstążka przy żakiecie. Może pani zapisała się do jakiego stowarzyszenia sufrażystek?

— Niech się pan przyjrzy uważnie odznace, przypuszczam, że ona pana bardzo zainteresuje.

Śmiejąc się, odpięła od klapy żakietu kawałek czerwonej wstążki i podała ją Briggerowi.

Detektyw zrobił zdziwioną minę, ale gdy przyjrzał się uważniej wstążce, twarz jego spoważniała.

— Gdzie pani to znalazła? — zapytał.

— Opowiem panu później wszystko, ale co pan myśli o tej odznace mojej?

— Ach! nic właściwie... Przecież miss Sheffield jest w domu...

Pani Nelly roześmiała się.

— Percy, pan mnie chce wyprowadzić w pole? To się panu nie uda... Ja już od dawna domyślitam się, co się święci i na własną rękę przedsięwzięłam poszukiwania. No, i jak pan widzi, nienajgorszych doszłam rezultatów.

— Muszę przyznać, że każdy detektyw musi schylić głowę przed panią... Wobec tego z tajemnicą precz... Skręcimy w tę boczną aleję kasztanową, am omówimy spokojnie rzecz całą

Po upływie pół godziny Will Larkins wezwany został do telefonu przez Percy'ego Briggera.

Detektyw prosił, aby Will natychmiast przyszedł do klubu, ponieważ czekają ważne wiadomości.

Naturalnie Will, nie ociągając się, usłuchał wezwania.

— Ach! nareszcie pan jesteś! — zawołał Brigger ujrzawszy go — Nie mamy czasu do stracenia! Musimy natychmiast siąść do automobilu i urządzić sobie małą wycieczkę zamiejską. Podczas tej przejeżdżki wręczę panu pewien przedmiot, który jest pańską własnością.

ROZDZIAŁ XV.

Jeszcze jedno porwanie.

W przeciągu następnych dwóch tygodni agenci Briggera mieli dużo do roboty. Z jak największą skwapliwością i dokładnością przeszukiwali bliższą i dalszą okolicę Nowego Jorku.

Sam Brigger również nie próżnował. W towarzystwie Willa Larkinsa odbywał długie wycieczki zamiejskie w swoim nowym samochodzie. Wszystko naprożno. Niepodobna było znaleźć żadnego śladu zaginionej Allice. Will był w rozpaczy, ale Brigger nie tracił nadziei.

— Dotychczas nie udało nam się — rzekł detektyw pewnego wieczoru, po powrocie ze zwykłej automobilowej przejażdżki — uchwycić wyraźnego śladu, ale nitkę Aryadny mamy w ręku i jej się trzymając dojdziemy do celu...

— A tą nitką Aryadny jest?... — zapytał Will.

— Okolica, w której pani Larinson-Peach znalazła tę wstążeczkę. W tej właśnie okolicy istnieją rozmaite rzeczy, które mnie intrygują. Przedewszystkiem chciałbym się przyjrzeć bliżej owemu sanatoryum, w którem zamknięto doktorowi Grayowi drzwi przed nosem kiedy chciał zakład ten zwiedzić. Następnie postaram się zobaczyć domy, które znajdują się w blizkości owej małej rzeczki leśnej. Szczególnie interesuje mnie ten dom z wielkiemi oknami na strychu i ten drugi z małym mocno zakratowanym balkonikiem, umieszczonym na dachu. Jedna jeszcze rzecz chodzi mi ciągle po głowie... kto też mieszka w tej pięknej niedawno zbudowanej willi... Podobno wynajęto ją dla jakiegoś chorego akademika z matką, ale tego chorego nikt jeszcze nie widział.

Larkins spojrzał nieco zdziwiony.

— Jakto? przecież pan wyraźnie nakazałeś swoim ludziom, że okolica poza tą rzeczką ma być od poszukiwań wyłączona.

— Nigdy nie można tak ufać innym, jak samemu sobie. Tę okolicę zachowuję dla siebie. Przedwczoraj, kiedy pan udałeś się do Spuyten Duywil, ja kręciłem się trochę po tamtej okolicy i dowiedziałem się dużo ciekawych rzeczy. Naturalnie ludność okoliczna, jak wszędzie i zawsze opowiada sobie rozmaite bajki na temat „zakładu dla waryatów". Ale z tych opowiadań jedno zwróciło moją uwagę. Podobno w tem sanatoryum znajduje się jakiś specyalnie niebezpieczny furyat, zwany przez okolicznych mieszkańców „dzikim człowiekiem". Waryat ten cierpi na prześladowczą manię morderczą. Niekiedy udaje mu się wyprowadzić swoich dozorców w pole i wydostać się poza mury zakładu. Całe sąsiedztwo ogarnia wówczas dziki paniczny strach. Ludzie uciekają w popłochu, kryją się po piwnicach. Właśnie wczoraj ten szaleniec wymknął się, napełniając najbliższą okolicę przerażeniem. Służba zakładowa goniła go na wszystkie strony... Larkins! — wykrzyknął nagle Brigger — temu sanatoryum ja muszę przyjrzeć się uważnie, chociażbym sam miał udawać waryata...

— Dlaczego pan mnie tam nie wysyła? — zapytał żywo Will — Jabym...

Nie dokończył, ponieważ w tej właśnie chwili odezwał się dzwonek z telefonu.

Brigger podskoczył do aparatu i wziął słuchawkę do ręki.

— Hallo! — Ach! to pan! tak... naturalnie... Jestem w domu... Niech pan przyjdzie natychmiast.

Zawiesił słuchawkę i znowu usiadł w fotelu przy biurku.

— Roven ma mi donieść coś ważnego. Nie wiem co się stało, ale sądzę, że byłoby wskazanem gdybyś się schronił w tym małym sąsiednim pokoju. Drzwi mogą zostać otwarte. W ten sposób będzie pan słyszał wszystko, nie będąc przytem sam widzianym...

— Nie będę przecież podsłuchiwał... — zaprotestował Larkins.

— Jak się panu podoba. Ja osobiście nie mam nic przeciwko temu, aby pan wszystko słyszał.

Zaledwie Will zdążył wyjść, kiedy już ozwało się pukanie do drzwi wchodowych.

— No cóż tam słychać nowego? — zapytał Brigger, uścisnąwszy Rovenowi rękę.

— Mamy nowe porwanie... Czyś pan już słyszał co o niem?

— Nie!

— To dobrze! Bardzo zależy mi na tem, abym ja to panu pierwszy opowiedział. Zaczynam za tem. Przedwczoraj o godzinie 12-tej w południe zauważono w domu inżyniera Jamesa Nortona, że zniknął gdzieś dziewięcioletni synek, wielki urwisz i śmiałek. Matka zaczęła natychmiast poszukiwania po rozmaitych miejscach, które były ulubionemi dla zabawy małego Jimma. Ale poszukiwania te okazały się bezskuteczne. Nikt ze znajomych, do których natychmiast telefonowano nie widział chłopca. W ten sposób stracono naprożno dwie godziny czasu, kiedy wreszcie zawiadomiono policyę o zniknięciu chłopca, stanęliśmy wobec zagadki bez jakiegokolwiek punktu zaczepienia.

— Czy kto widział, jak chłopiec wychodził z domu? — zapytał Brigger.

— Nie, nikt!

— No i cóż się stało dalej?

— Dzisiaj nadszedł list, któregośmy zresztą oczekiwali.

— Naturalnie, to było do przewidzenia. Jakaż jest treść tego listu?...

— Norton przybiegł z listem natychmiast do mnie... Zadają okupu sto tysięcy dolarów...

— Naturalnie z zapewnieniem zupełnego bezpieczeństwa dla odbiorcy sumy okupowej?

— Oczywiście... tak jak to zawsze w takich wypadkach porwania. Ale tu chodzi jeszcze o co innego...

— Mianowicie?

— Przypomniałem sobie sprawę porwania miss Sheffield i pobiegłem do starego Sheffielda, aby porównać listy. Charakter pisma jest identyczny.

Brigger zerwał się na równe nogi.

— Nie myli się pan?!...

— Niepodobna się mylić! Proszę niech pan spojrzy na te listy i porówna.

Papier zaszeleściał w ręku Briggera.

— Tak, te listy pisała jedna i ta sama ręka! Cóż dalej?

— Wszelkie poszukiwania nie doprowadziły do niczego. Wpadliśmy na trop automobilu, który przejeżdżał koło Morris-parku, unosząc dwóch dorosłych mężczyzn i małego chłopca. Pasażerów tego automobilu odnaleźliśmy w Alei N 41. Okazało się, że są to członkowie wędrownej trupy teatralnej, a chłopiec jest synem dyrektora. Mocno rozczarowani wróciliśmy z tej obławy. Wówczas Norton wpadł na myśl, którą ja powziąłem już od samego początku: pan musi się zająć tą sprawą.

— Ależ...

— Tak jest, mówiłem Nortonowi, że to może być dla pana sprawa zbyt drobna. Ale proszę pana gorąco, niech pan nie odmawia.

— Roven.

— Norton może zapłacić, ile się tylko zarząda, ale ja wiem, że dla pana zysk pieniężny jest rzeczą podrzędną. Niech pan jednak pomyśli, tutaj chodzi o biedne, niewinne dziecko, które się dostało do rąk tych szalonych dyabłów. Raz wreszcie trzeba ich zdybać i wyrwać im z rąk ich szlachetne rzemiosło.

— Ależ, Roven, dajże mi pan dojść do słowa. Nie odmawiam wcale. Przeciwnie, przyjmuję sprawę bez wahania, jeżeli pan Norton żywi do mnie takie zaufanie. Tylko naturalnie wymagam, aby kierownictwo poszukiwań w mojem wyłącznie pozostawało ręku.

— Ależ naturalnie, to rozumie się samo przez się. Gdyby pan potrzebował ludzi...

— Zwrócę się wtedy do pana.

— Odchodzę zatem i dziękuję panu w imieniu Nortona.

— Przedwczesne podziękowanie.

— Czy listy mam zostawić?

— Tak jest, a także proszę pana o adres tych aktorów i o numer automobilu, w którym jechali.

— Służę panu wszystkiem, czego pan tylko zażąda. Zdejmuje mi pan ciężar z serca.

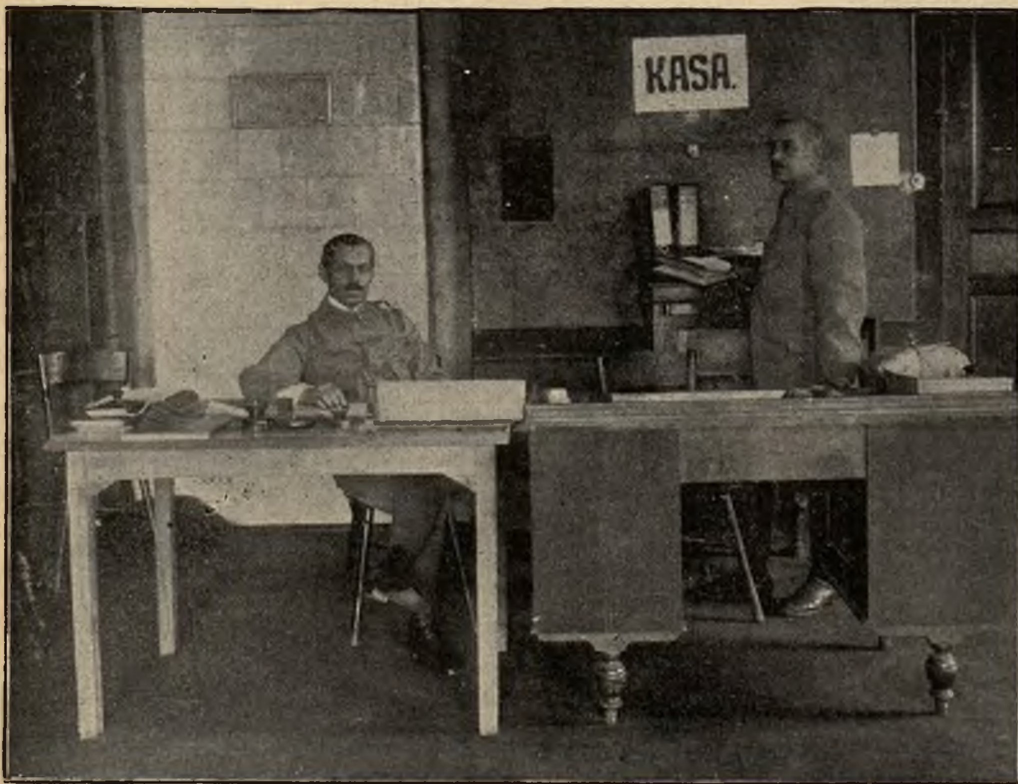
— Jeszcze jedno dodać muszę, kochany Rovenie. Prasa i publiczność muszą pozostać w mniemaniu, że sprawa Nortona w pańskiem nadal pozostaje ręku. Moje nazwisko nie może być ani razu wymienione. To warunek nieodzowny.

— Zgadzam się na wszystko — odparł Roven, poczem pożegnawszy się, udał się do pana Nortona, aby go zawiadomić o pomyślnym rezultacie swej wizyty u Briggera.

Skoro Roven oddalił się, Larkins wyszedł ze swego ukrycia. Percy opowiedział mu w krótkości całą sprawę Nortona.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W Krzysztoforach.



Kasa oddziału aprowizacyjnego.



W Krzysztoforach: W biurze Prowiantury.

Ani wiedzieć jak szybko się zagospodarowali... Stary opustoszały gmach, przywykły od lat do gwaru, ostatnio przedmiot sporu między naszymi „ruderosnobami“ a „burzymurkami“, na jakich dzielili się krakowscy esteci i realni ojcowie miasta, Krzysztofory — przekonały wrogów i przyjaciół, że w zachodzie swej świetności i istnienia przydać się na coś mogą. Jest to jakby piękny gest starych murów, stojących na straży architektonicznej stylowości Rynku. — Zapadając się w nicość, błysnęły nowym, świetnym blaskiem. Koszary Legionów polskich, to tytuł do historyi i prawo do poszanowania, to bajka śniona przez nas tak długo — naraz staje się rzeczywistością. Tu w centrum serca Polski, na naszym przepięknym Rynku ich miejsce — tu możemy radośnie patrzeć na nie, widzieć ich ruch, ich nowe życie, tak nam miłe i kochane.

Szczęśliwy wypadek spowodował to skojarzenie zdarzeń, ale nie chce się temu wierzyć, boć przecie nie mogłoby być inaczej... Rynek krakowski, pamiętający tyle chwil dziejowych i współczesnych podniośliejszych przeżyć, ma i powinien mieć wśród siebie to obecne ognisko całego ruchu narodowego — Legion.

Już przyzwyczailiśmy się do tych szarych mundurków, otaczających Krzysztofory — jak rój pszczół. To wchodzą weń, to wychodzą, rośli i drobni, młodzieniaszki i starsi — nasze kochane żołnierzyki.

„Tutaj — wskazuje niejedna matka z dumą — stoi mój syn z plutonem załogą“, — a wszyscy



W Krzysztoforach: W przedsionku biur Legionu.

przechodząc życzliwie patrzą na młodocianych wartowników. — „Dzieciuch — rzeknie niejeden pesymista — za piec! do książki“. — „Tak jest! dzieciuch — odrzeknie mu kapral Legionista, siedmnastoletni wyrostek — ale ma wigor i ochotę za czterech dorosłych“ I przeciągają tłumy przed tym gmachem, a wewnątrz niego wre od ruchu, prac, śpiewów, wesołych rozmów i żartów. Wypadają wciąż zeń „ordynansi“, małe skauciki, wioząc jakieś listy lub rozkazy, to znów wysypuje się na rynek liczna grupa rekrutów w góralskich „portkach“ lamowanych i kapeluszach z muszelkami, ale już w szarych bluzkach i „przy bajonecie“. Prowadzi ich kwatermistrz W. młody technik, co cyrkiel na szablę zamienił; ładnie mu w mundurze i z trzema gwiazdkami na kołnierzu. Drugą bramą od ul. Szczepańskiej wjeżdża olbrzymi wóz drabiniasty, pełen kapusty — przysmak dla kuchni koszarowej, która ulokowała się w podwórzu. Głośne słowa komendy: „uważajcie! nie przypalić mi mięsia, bo mamy dziś maruderów od Piłsudzkiego a to delikaciki, popsuci na torcikach Królewianek“. Kuchnia, to kilka olbrzymich kotłów, rozgrzewanych sposobem polowym, „ale zupy tęgie dają“ — jak objaśnia jakiś smakosz, oczekujący na obiad z menażkami. Kuchcikami i palaczami komenderuje też oficer Ch. z jedną gwiazdką, a koło niego zwijają się w fartuchach mali kucharze, czynią zaś to z takim zapałem, jakgdyby w którymś z kotłów gotował się kozak a nie zwykły baran.

Wejdźmy do gmachu, tu olbrzymia, ciemna sień, schody, korytarze roją się od Legionistów, wszędzie ich pełno.



W Krzysztoforach: U komendanta etapowego dra M. Szaroty (X).



W Krzysztoforach: W biurze komendy placu.

„Moglibyście obywatelko pisać krócej i wyraźniej, tylko robota dla cenzury“ — mruczy „urzędnik“ przy szabli.

„Co cenzura?! — ależ nie można, tam w liście są same tajemnice...“

„Na wojnie nie ma tajemnic, a zresztą to zaraz widać, co tam za tajemnice, tylko że moglibyście odłożyć to do powrotu“, — i składa list na stos innych.

Na drugim piętrze ulokowała się Kasa i Prowiantura. Poważne te instytucye zajmują wspaniałe sale ze zdobnymi w sztukaterye plafonami. Nastrój to poważniejszy, pod oknami szereg biurek, przy każdem tabliczka: „podwody“, „pasza“ etc., a pracownicy tych biur to legioniści, co mieli więcej animuszu bojowego niżli sił fizycznych i po nieudałych próbach ćwiczeń wojskowych przydzielono ich do biurek. Przyjęli ten los z poddaniem się, ale nie rozstali się z mundurkami, boć to ich chluba — pracują jak mogą dla sprawy.

I tentni tak przez dzień cały stary gmach, od dolnych kwater i składów aż po poddasze.

Krzysztofory — Koszary i Komenda Legionów polskich — podwójnie nam obecnie drogie. Może tą zasługą, ostatnią a najwspanialszą w ich historyi zaskarbią sobie życzliwość i ocalenie.

A może już na zawsze będą koszarami wojsk polskich, a może...

Ten do komendy placu idzie „meldować się“ jako że już wrócił z urlopu, inny do komendanta etapowego po marszrutę.

Komendant, to dotychczasowy historyk S., trudno wprost uwierzyć jak łatwo przedzieżgnął się w wojskowego. Nabrał jakiegoś marsa, sprężystości żołnierskiej — urodzony wojak.

Przed jego pokojem oblężenie, każdy po koleji, za numerem wpuszczony staje szarmancko przed biurkiem — „ja komendancie do Łodzi, z kołdrami“ mówi jeden, inny znów na Węgry.

Największy ruch panuje na poczcie polowej, to jakiś starszy jegomość przynosi list do swego syna i interpelującemu urzędnikowi żałośnie tłomaczy: „Nazywa się Adaś X. w którym pułku? niewiem — gdzie? niewiem. Uciekł bestya z domu przed miesiącem, ani słowa nie pisze“.

Pociesza go wszystkowiedzący komendant poczty N., w czasach pokojowych artysta sceny krakowskiej.

„Owszem — ja wypełnię adres. Pański syn nie byle co, został ostatnio za mężność podoficerem, jest w drugim pułku, trzeci batalion“...

„A to smarkacz! podoficerem, a miał właśnie poprawkę zdawać z greki. No, kiedy się dobrze sprawia, poślę mu 20 kor.“

Przy drugim stoliku jakaś czarnooka panienka, rumieniąc się pyta: „Czy nie ma wiadomości o „Szopenie“ — to pseudonim, proszę obywatela. W pierwszym pułku był, w Królestwie“ i posyła mu długi drobniutko pisany list.



W Krzysztoforach: W biurze oddziału kwaterunkowego (szycie sienników).



W Krzysztoforach: W biurze komendy etapowej.



W Krzysztoforach: Biuro poczty polowej. (X) Zastępca komendanta, artysta sceny krakowskiej Nowakowski.



W Krzysztoforach: Oddział kwaterunkowy z komendantem nadpor. Wąsowiczem w pośrodku.

Wojsko indyjskie.

Anglia zawzięła się w tej wojnie i poruszyła wszystkie podległe jej ludy i ziemie do walki z Niemcami. Na terenie francuskim ścierają się z wojskiem niemieckiem najprzeróżniejsze armie kolorowe z kolonii francuskich i Wielkiej Brytanii. Ta ostatnia szanując swój materyał ludzki z Europy, wysyła do Francyi wciąż nowe posiłki egzotyczne.

Pokonane w r. 1857 Indye straciły swą niezależność, stając się jedną z najważniejszych posiadłości kolonialnych Anglii. Postanowieniem z dnia 1. listopada 1858 cały Indostan dostał się pod bezpośrednią władzę Anglii, namiestnik zaś królowej Wiktoryi otrzymał tytuł wicekróla, czyli Nawab-



W Krzysztoforach: Przed wydaniem obiadu w kuchni. (X) Komendant por. A. Chojnowski.

Wezyra. Dotrzymanie zobowiązań tolerancyi i łagodności rządu, które zastąpiło dawne masowe tępienia powstających raz wraz Hindusów, ułożyło jakoś *modus vivendi* w tym kraju o powierzchni szesnaście nie i muły. Cała armia indyjska miała w czasie pokoju 78.000 ludzi, a odrębna flota Indyi posiada kilkanaście pancernych okrętów większych z odpowiednią liczbą pomocniczych. Wojska indyjskie temperatury 5 – 15 stopni... powyżej zera. Wojsko indyjskie, jak mało dotąd użyteczne, bardzo jest malownicze i rekrutuje się z pięknych mężczyzn, jak to twierdzą zalotne Paryżanki, chwalące sobie



Piechota.



Oddział karabinów maszynowych.

Wojsko indyjskie:

razy większej od Zjednoczonego Królestwa, i cztery razy większej odeń ludności.

Tylko dzięki umiejętnej polityce utrzymali się Anglicy przy Indyach zachodnich, stwarzając sobie z nich teren eksploatacyi, nazwany szumnie cesarstwem, rzekomo wolnem, a właściwie trzymanem silnie przy tronie angielskim.

Indye mają swą liczną armię, organizowaną i kierowaną przez europejski sztab, składającą się z sześciu korpusów w czasie pokoju. Tworzą ją w piechocie angielskie bataliony, do tysiąca ludzi liczące i pułki krajowców, mniejsze trochę co do liczby, kawalerya składa się także z pułków angielskich i krajowych z 600 ludźmi. Charakterystyczną jest jej artylerya, obok koni użyte są w niej woły, słouzbrojone i uformowane są według ostatnich wzorów, są to pierwszorzędne wojska liniowe, które obok świetnego wyćwiczenia i kierownictwa, zalety swe bojowe powiększają o wrodzoną dzikość i odwagę. Sprowadzenie tych wojsk do Francyi miało przechylić szalę zwycięstwa na stronę sprzymierzonych, stanął temu jednak na przeszkodzie tamtejszy klimat. Hindusi przywykli do bengalskich upałów marzli wprost w dni wietrzne i deszczowe, a nadto muszą uczyć się obecnego sposobu walki, to jest okopywania się, czego w bitwach u siebie nie potrzebowali i nie uczyli się. Sprowadzeni też na teren francuski dotychczas siedzą bezczynnie, ćwicząc się w kopaniu rowów, a głównie hartują się do przetrzymywania europejskich „mrozów", to jest wielce ich animusz, zwłaszcza w walkach... sercowych z niemi. Nadziei jednak pokładanych w nich przez oba sztaby, angielski i francuski, dotychczas nie spełniły i może Anglia będzie musiała sprowadzić... Patagończyków, gdy Hindusi, Maurowie i inni nic jej pomódz nie mogą.

Galicyjscy uciekinierzy we Wiedniu.

Pożoga wojenna, ktora ogarnęła całą wschodnią i potężny szmat środkowej części naszego kraju, nie pozostała bez wpływu i na ludność miejscową. Mieszkańcy wsi i miast, na wiadomość o zbliżaniu się



Z wojny: Rynek w Mechlinie z pojmanymi pod Antwerpią jeńcami belgijskimi.

najeźdźców, opuszczali w popłochu swe sadyby, zostawiając nieraz na pastwę wrogom cały swój dobytek, a zabierając tylko to, co się unieść dało.

Ludność wiejska kryła się po lasach, częściowo szukając ocalenia i w okolicach spokojniejszych, mieszkańcy miast, głównie zaś Izraelici, wybierali się dalej na zachód, gdzie się czuli bezpieczniejszymi.

Pierwsza fala, przeważnie wychodźców z Galicyi Wschodniej, za cel podróży obrała Wiedeń. Ze samego Lwowa zebrało się tutaj w przeciągu kilku dni kilkanaście tysięcy ludności, przed tygodniem jeszcze zamożni, dziś pozbawieni najniezbędniejszych środków do życia.



Z wojny: Generał-pułkownik v. Bülow, jeden z komendantów armii niemieckiej na prawem skrzydle we Francyi.



Galicyjscy uciekinierzy w Wiedniu: Zgromadzenie galicyjskich wychodźców w sali hotelu Continental.

W ślad za Lwowianami poszli i mieszkańcy Galicyi Zachodniej, szczególniej zaś Krakowa, w którym, podobnie jak w Przemyślu, zarządzono ewakuacyę.

W przeciągu niespełna dwóch tygodni zebrała się nad modrym Dunajem tylu mieszkańców Galicyi, iż cyfra ich przekroczyła sto tysięcy. Zawiązały się komitety, mające za zadanie zająć się losem wychodźców, i zwróciły się do Rządu z prośbą o doraźną pomoc, której im też nie odmówiono.

Na czele komitetu, opiekującego się zbiegami galicyjskimi, stanął ekscelencya Biliński, który nie szczędzi trudów i zabiegów, by ulżyć niedoli nieszczęliwych i postarać się o zaspokojenie bodaj najprymitywniejszych ich potrzeb, zanim nastaną chwile spokojniejsze, gdy będzie można powrócić do kraju. Postarano się także, by młodzież, pochodząca z Galicyi, mogła i we Wiedniu pobierać naukę w języku polskim.

Galicyjscy wychodźcy urządzają często zebrania, na których naradzają się nad swym losem, w czasie jednego z nich uchwalono adres hołdowniczy z podziękowaniem Monarsze za wydatną pomoc, jakiej doznali ze strony sfer najwyższych i rządu.

Illustracya nasza przedstawia scenę z tego zgromadzenia w chwili przemowy posła Reizesa, którego zebrana publiczność, przeważnie izraelicka, przyjęła owacyjnie.



Z wojny: Oddział marynarzy niemieckich na bulwarze w Antwerpii.

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

22

Po chwili, liczne skrzydła zatrzepotały w głębokiej ciszy, wypełniającej przepaść centralną i nowy zastęp Wampirów w milczeniu wyłonił się z niej, wypełniając opróżnione przed kilkoma minutami zagłębienia i kryjówki, mieszczące się na górnych piętrach.

Były to ofiary, wybrane na następne całopalenie. Robert Darvel, którego głos wyrażał już zmęczenie, umilkł i wypił kilka łyków wina, podanego mu przez małą Cherifę. Miss Alberta i jej przyjaciele zapadli w głębokie zamyślenie. Z niecierpliwością oczekiwali dalszego ciągu ciekawego opowiadania młodego inżyniera. Tylko jeden Zaruk, murzyn ze źrenicami utkwionemi w jeden kąt werandy, zdawał się być silnie przerażony, jakgdyby ślepemi oczami swojemi oglądał w tej chwili jednego z potworów, przedstawionych obecnie przez opowiadającego.

Wyspa umarłych.

Po chwilowem wypoczynku Robert Darvel, ku widocznemu zadowoleniu zebranych przyjaciół, rozpoczął dalsze opowiadanie.

— Od dnia tego, pamiętnego dla mnie, dręczyło mnie gorące pragnienie ujrzenia tyrana, wywierającego na nieszczęśliwych Wampirach, wpływ tak zgubny i despotyczny. Jeszcze przed upływem miesiąca, przy końcu którego, nowa ofiara miała być złożona Mollochowi, powziąłem stanowcze postanowienie. Chciałem za jakąbądź cenę odkryć schronisko potwora i naocznie ujrzeć tę potworną scenę kiedy pożerać będzie swoje ofiary.

Byłem przekonany, że było wiele przesady w tem co mi opowiadano. Istnienie stworzenia tego rodzaju, jak mi opisywano, wydało mi się nieprawdopodobnem.

Wampir, któremu zwierzyłem się ze swoimi zamiarami był w pierwszej chwili zaskoczony moją odwagą i ciekawością, jednakże nie odmówił mi dostarczenia potrzebnych przedmiotów do tej niebezpiecznej wyprawy, przytem objaśnił mnie w jaki sposób dostać się mogłem do kraju, nazywanego „Wyspą umarłych", a o którym mówił drżąc na całem ciele i wzdychając ciężko.

Wynalazł dla mnie, w kącie podziemnego arsenału, łódź silną i lekką, zrobioną ze skorup żółwi morskich, tak doskonale złączonych ze sobą, że zdawały się ulane z jednej sztuki. Łódź ta była wązka i przy końcu przechodziła w dziób spiczasty; było w niej miejsce na dwie osoby. Przygotowałem sobie ster i wiosła, używszy na ten cel desek, wyjętych z pak, drzewa cedrowego i wkrótce z ogromnem zadowoleniem ujrzałem łódź moją, kołyszącą się na spokojnych falach fioletowego morza. Do posunięcia jej na wodę dopomogli mi Wampirzy, którzy wyniośliszy ją na platformę spuścili się z nią na dół i przytwierdzili do stóp kryształowej wieży. Była ona dostatnio zaopatrzona w zapasy żywności, starczące według ich obliczenia na czas przeprawy. Uznałem za stosowne nie obciążać jej żaglami. Jestem marynarzem dosyć doświadczonym i ostrożnym; wiedziałem, że uniesiony zostanę w pożądaną i powrotną stronę, przez dwa prądy płynące w przeciwnym sobie kierunku, a które łatwo rozpoznać było można przez różne zabarwienie ich wód.

Nie bez pewnego wzruszenia, na trzy dni przed fatalną datą ofiary, spuściłem się przy pomocy Wampira z wysokości platformy do mojej skorupianej łodzi. Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku poruszyłem kilkakrotnie wiosłami i znalazłem się prawie natychmiast pośród prądu biegnącego od północy ku południowi, a który uniósł mnie z wielką szybkością.

Znalazłszy się na wodach, odetchnąłem z ulgą; przyznaję bowiem, że organizm mój wypoczęty nabrał energii, która tam w podziemnym kryształowym pałacu ciążyć mi już zaczynała. Pragnąłem już ruchu i zmiany, choćby za cenę nowego niebezpieczeństwa.

Zaopatrzony byłem w mapę, bardzo prymitywnie oznaczoną węglem na kawałku cienkiej deszczułki, a po wskazówkach danych mi przez Wampirów, wiedziałem, że zabłądzić nie mogę. Byłem więc zupełnie spokojny i pewny siebie, podniecony nadzieją nowego, ciekawego odkrycia.

Pogoda była prześliczna, a stan ten trwał od chwili przybycia mojego do schroniska Wampirów. W dali, na niebie czystem bez chmury, rysowały się wyraźnie jaśniejące wszelkimi odblaskami tęczy kryształowe wieże, u stóp których kołysały się łagodnie ciemne fale morza.

Dzięki mojemu kaskowi, którego nie zdejmowałem teraz ani na chwilę, widziałem Wampirów stojących rzędem na platformach, podobnych do wstrętnych, olbrzymich ptaków. Przyglądali się mojej wyprawie z osłupieniem i lękiem, dziwiąc się zapewne mojej lekkomyślności.

Dzień ten upłynął bez żadnego znaczniejszego wypadku, zostałem tylko niespodziewanie właścicielem przepysznych, olbrzymich ryb skrzydlatych, które same dobrowolnie zapadły w moją łódź.

Pod koniec dnia, gdy już zmierzch zaczął rzucać długie szare cienie naokoło, wylądowałem na piaszczystej wysepce, pokrytej skorupiakami i ptakami o barwnem, ślicznem upierzeniu. Noc tę przespałem doskonale. Nazajutrz ledwie świt się ukazał zgotowałem sobie pożywne śniadanie i wypłynąłem na morze.

Pejzaż uległ już pewnej zmianie. Przepłynąłem już długą linię wież kryształowych. W morzu opuszczałem, posianem purpurowemi skałami o dziwnie ponurym wyglądzie, przeglądało się burzliwe niebo, brzemienne czarnemi, ciężkiemi chmurami o ołowianym, nieprzyjemnym połysku. Powietrze stało się parne i gorące. Wielkie ryby o krwistem zabarwieniu, pluskały się dookoła mojej łodzi i drżałem, aby której z nich nie przyszła fantazya rzucić się na mnie. Jedno silniejsze uderzenie tych szczęk olbrzymich, wystarczyłoby zmieść mnie z powierzchni wody razem z moją nędzną łupiną.

Około południa ujrzałem przed sobą wielką przestrzeń ziemi oliwkowej, rosnąca przed mojemi oczami z każdą chwilą. Pod wieczór już szczyt jej zaokrąglony wzniósł się aż do wysokości chmur, w których zniknął.

Rozpoznałem opisane mi przez Wampirów schronisko potężnego potwora i pomimo woli ogarnęło mną silne wzruszenie na myśl, że ujrzę nareszcie choć w części pewnej te wszystkie okropności, o których mi opowiadali.

Zdawało mi się, że gigantycznych rozmiarów góra, zasłaniająca całą linię horyzontu spada na mnie całym swoim ciężarem i że przyciągała ku sobie moją łódź wraz ze mną, jak góra magnetyczna z legend arabskich.

Zacząłem odczuwać stopniowo wpływ tego niewytłumaczonego przyciągania i w pewnej chwili żałowałem, że opuściłem tak lekkomyślnie spokojną i bezpieczną wieżę kryształową, gdzie mogłem w lepszych warunkach studyować objawy tej ciekawej planety — a nie biedz dobrowolnie naprzeciw niebezpieczeństwa. Musiałem użyć całej woli swojej i odwagi aby się nie dać skusić pragnieniu natychmiastowego odwrotu, aby nie powrócić do moich Wampirów, którzy przecież ostrzegali mnie niejednokrotnie, że podążam ku pewnej śmierci i dla których obecnie czułem wielki napływ wdzięczności i sympatyi.

Z wielkim trudem opanowałem się w końcu, naśmiewając się głośno z mojego chwilowego tchórzostwa.

Tego wieczoru skierowałem łódź moją ku odłamowi zębatej skały wynurzającej się z morza, ale nie znalazłem ani chwili spokoju i wypoczynku.

Zaraz po zachodzie słońca zerwała się szalona burza. Oślepiające, krwawe błyskawice, raz po raz przecinały ognistymi językami zaciemnione sklepienia nieba. Rozszalałe bałwany morskie biły o skałę, grożąc mi ciągle porwaniem, chociaż wydrapałem się na sam szczyt skały, gdzie z nadludzkim wysiłkiem wciągnąłem i łódź moją, umieściwszy ją w głębokiej szczelinie.

Całą noc huczało koło mnie jak z tysiąca armat, a deszcz ulewny siekł mnie niemiłosernie, wstrząsając dreszczem aż do szpiku kości.

Wiedziałem, że w wielu ciepłych krajach burza wybucha prawie każdego wieczoru i odświeża ziemię spaloną całodziennym upałem. Ta myśl uspokoiła trochę moje obawy i w niej znalazłem jasne wytłomaczenie określenia Wampirów, że „to jest kraina śmierci, nawiedzona wiecznie trwającemi burzami i huraganami". I tak w ten sposób wyjaśniał się logicznie i dostatecznie fakt normalny, uważany przez te nierozwinięte dostatecznie umysłowo istoty jak coś nadnaturalnego, przypisanego szatańskiej potędze znienawidzonego bożka.

Gdy ranek zaświtał, wyciągnąłem ze szczeliny łódź moją nieuszkodzoną i wypłynąłem na morze. Deszcz na szczęście przestał padać, ale niebo ciągle jeszcze było pokryte ciemną płachtą chmur a powietrze było gorące przesycone elektrycznością.

Olbrzymia góra wznosiła się teraz przedemną jak wał spiczasty i mogłem dokładnie skonstantować, że posiadała formę półkuli o którą rozbijały się fale morza.

Mogłem sobie teraz zdać sprawę, że nie różniła się w niczem z rysunkami przedstawiającymi ją na jedwabnych tkaninach, znalezionych w podmorskich galeryach.

O ile się nie myliłem, góra ta była również wysoką jak góra Mont-Blank, lecz o wiele szersza od dołu.

W miarę zbliżania się do niej, mogłem dostrzedz, że ten olbrzymi blok, jednolity i gładki posiadał zabarwienie szaro-brudne, jakgdyby w pełni dnia światło otoczone popielatym przeźroczystym papierem.

Po lewej i prawej stronie ujrzałem wał ziemi o wiele niższy, pokryty rozległym lasem o dziwnym wyglądzie, który szczególnie zwrócił moją uwagę. Drzewo było błyszczące jakgdyby pokryte srebrnym pyłem, lub solą skrystalizowaną. Ale najbardziej pociągnięty byłem widokiem tej przeklętej legendarnej góry, która przez jakieś złudzenie optyczne wydawała mi się być bardzo bliską, chociaż wiedziałem, że znajduję się w pewnem jeszcze oddaleniu od niej.

Morze w tem miejscu było pokryte skałami i ławami złotego piasku, przez które przebiegały prądy fal. Z trudnością kierowałem moją łodzią; trupy ryb i ptaków płynęły gromadami tak, jakgdyby sąsiedztwo przeklętej góry było znakiem śmiertelnym dla wszystkich stworzeń żyjących. Od wody mętnej i ciemnej szedł nieznośny zapach padliny i zgnilizny.

Żaden z ziemskich widoków nie może dać dokładnego wyobrażenia o złowrogim, pełnym ponurego smutku wyglądzie tego otoczenia. Działało ono i na mnie w dziwnie drażniący sposób, nie mogłem się oprzeć najfatalniejszym przeczuciom, pomimo iż starałem się logicznie i rozumowo wytłomaczyć niektóre objawy tu ujrzane. Czyż na podobieństwo głupich Wampirów skłonny będę do uwierzenia w rzeczy nadnaturalne i tragicznością swoją wzbudzające bierną apatyę i rezygnacyę przed potęgą nieznanej mi potęgi? W połowie dnia napotkałem wysepkę pokrytą zielonością i kwiatami i widok ten niespodziewany sprawił mi wielką przyjemność. Podpłynąłem do niej w zamiarze zatrzymania się tam czas jakiś. Chciałem ztąd doczekać się po dobrym odpoczynku chwili całopalenia biednych Wampirów.

Ale kiedy znalazłem się przy brzegach tej rozkosznej wysepki, ujrzałem, że cała pokryta była krzewami laurów różowych i powiew wiatru przyniósł mi nagle silny zapach kwasu pruskiego.

Zrozumiałem że narażałem się na pewne strucie, przebywając w tym fatalnym zakątku. Setki drobnych owadów, małych momiferów i rybek zaścielały piasek, potwierdzając dostatecznie moje obawy. Spiesznie, silnemi uderzeniami wiosel oddaliłem się bardzo niezadowolony, sądziłem bowiem, że tu odetchnę cokolwiek i przyjdę do równowagi po doznanych przykrych przejściach tej niespokojnej nocy.

I rozumiecie teraz mój głęboki wstręt do wszelkiego zapachu, przypominającego woń gorzkich migdałów.

To nowe odkrycie uczyniło na mnie wrażenie wielkie i rozbudziło uśpione niedobre przeczucia.

Przekonałem się, że wszystko, co mnie otaczało, było jednem niebezpieczeństwem dla mnie i od tej chwili zrozumiałem, że Wampiry mówili prawdę i że byłem igraszką nieznanej potęgi, która mnie zewsząd otaczała.

Byłem już teraz zdecydowany skierować łódkę do powrotu, ale obliczyłem, że pozostawało mi zaledwie dwa dni do fatalnej daty, wyczekiwanej przeze mnie. Byłoby szaleństwem i lekkomyślnością zapuścić się nocą w powrotną przeprawę, a do tego wszystkiego byłem tak zdenerwowany, że łatwo zatracić mogłem kierunek właściwy z południa na północ, którym powrócić musiałem do kryształowej wieży.

Pragnąłem ujrzeć to ciekawe widowisko, dotarłem aż tutaj, należało dalej wytrwać, pomimo woli nawet. Zdecydowałem się na tę ostateczność, drżąc przed niebezpieczeństwem, na jakie się narażałem, i skierowałem łódź do podnóża góry; byłem już tak blizko, że doskonale rozpoznać mogłem, iż była cała z kamienia brudno-białej barwy. Nie zauważyłem żadnych szczelin i wystających zrębów, potwornych rozmiarów blok był jak gdyby wyciosany z jednej sztuki.

Długo okrążałem podnóże góry, pokryte ławami piasku i spostrzegłem z przerażeniem i wstrętem, że miejscami zawalone było szczątkami łap i skrzydeł Wampirów, wydając wstrętną, zgniłą woń. Spostrzegłem również wówczas, że bez pomocy mojego opalowego kaska, mogę dostrzedz te porozrzucane po piasku szczątki. Niewidzialność więc Wampirów, zdolność niewytłomaczona dla mnie a im tak pożyteczna, zanikała z chwilą ich śmierci razem z nimi.

(Ciąg dalszy nastąpi)



W Krzysztoforach: Stołownicy kuchni koszarowej z obiadem.



Dwunasta wojna: Patryotyczna demonstracya w Konstantynopolu, urządzona przez ludność z racyi wybuchu wojny z Rosyą.

Kronika tygodniowa.

Według życzenia Szanownego Krakowianina starałem się nastroić w poprzedniej kronice swą lutnię na nutę o ile możności najsmutniejszą. Czy mi się to udało, nie wiem, to jedno jest pewnem, iż mnie samemu kapały łzy z oczu, gdym ją pisał, a całkiem już głośnym szlochem wybuchłem, spostrzegłszy, że najbardziej tragiczną jej część skreślono mi z rozporządzenia wyższego.

To już *vis major*, odemnie zupełnie niezależna. W każdym razie, chęci miałem jak najlepsze i, jeśli Szanowni Czytelnicy nie płakali, czytając mą pracę, to już ich wina. Dzisiejsze pokolenie jest tak nerwowe, iż tam, gdzie się trzeba śmiać, płacze i odwrotnie, żal i smutek objawia bardzo często śmiechem.

Ten wstęp niechaj będzie przyjętym, jako wytłumaczenie z mej strony i zarazem zapewnienie, iż na przyszły raz dołożę wszelkich starań, by od smutku pozostać jak najdalej, bo to się pod żadnym względem nie opłaci.

W dzisiejszych wojennych czasach, gdy sytuacya polityczna staje się z każdym dniem coraz niepewniejszą, redakcye wszelkich pism codziennych starają się o wywiady u różnych wysoko i wyżej postawionych osobistości, by je potem podać swym Czytelnikom *in extenso*, podlane naturalnie specyalnym sosem, o ile to temu lub owemu stronnictwu jest potrzebnem.

I ja, skoro, na razie przynajmniej, nie mogę wyjechać z powodu zakatarzenia na plac boju, postanowiłem pójść w ślady kolegów po piórze i, o ile możności, zdobyć nawet rekord pod tym względem.

Zacząłem więc rozglądać się za najwyżej postawioną w Krakowie osobistością i doszedłem do przekonania, iż jest nią nikt inny, jak trębacz na wieży Maryackiej. Jeden z naszych znakomitych liryków mieszka wprawdzie na piątem piętrze, ale zazwyczaj w domu zastać go trudno, więc też nie można i interwiewować, co zresztą wieża Maryacka, to nie jakieś tam piąte piętro i do tego od tyłu.

Proszę mi pokazać w Krakowie człowieka, któryby miał przed sobą otwarty tak szeroki horyzont, jak właśnie trębacz z wieży Maryackiej!... Konia z rzędem i to całkiem żywego (a wolnego od asenterunku) dam temu, ktoby tego dokazał.

Wybrałem się zatem celem uskutecznienia owego wywiadu, niestety, dowiedziałem się, iż na wieżę się nie dostanę, gdyż jest to zakazanem, czekać zaś pod wieżą, aż trębacz zejdzie przy zmianie warty, także się nie opłaci.

Wobec tego postanowiłem poszukać sobie innej ofiary, której bym mógł urządzić dziennikarskie wiercenie dziury w brzuchu i szczęśliwym trafem natknąłem się zaraz na rogu ulicy Floryańskiej na pewnego pana radcę, o którym powiadają, że całą europejską polityke ma w małym palcu.

Dążył właśnie na posiedzenie swego klubu politycznego „pod Palmą“, skąd sygnalizowano mu nadejście świeżego transportu pilznera.

— Sługa szanownego radcy dobrodzieja! — zawołałem.

— Pfu!... Dzień dobry! — odpowiedział, dmuchając, niczem zepsuty automobil. — Cóż tam słychać u kochanego pana?... Słyszał pan najświeższą nowinę?

— Nie! Cóż takiego?

— Do Hawełki nadszedł świeży transport pilznera!... Właśnie tam lecę!...

— To bardzo ładnie! Odprowadzę kochanego radcę, ja bowiem, wierny swym zasadom, jako członek Bractwa nieustającego pragnienia wolę lokal „pod Obrazem“, gdzie piwa nie brakuje!

— Ale, łaskawco, dla mnie jest trochę za zimne, a ja cierpię na żołądek!...

— Bolibrzuszki, kochany radco, powinni dać sobie spokój z piwem, a zostawić je dla nas zdrowych... O co innego mi się jednak rozchodzi!... Chciałem radcę poprosić o wywiadzik, taki sobie maleńki „interwiewik“...

— W materyi?...

— W jakiej radca dobrodziej sobie życzy! Mnie wszystko jedno, bo ja wiem, iż radca *ist in allen politischen Angelegenheiten so bewandert, wie niemand anderer!*

— No! No!... Tylko bez przesady! Zna się człek na tem, ale cóż w tem dziwnego; przecież prenumeruję aż trzy polityczne dzienniki krakowskie i jeden wiedeński... Pytaj więc, z góry ci jednak powiadam, iż, jeśli napiszesz tak, że znowu poznają moi przyjaciele, kogo to interwiewowałeś, kwita z naszej przyjaźni i znajomości!

— Niech się kochany radca nie obawia! Dyabeł nie pozna, że to radca!... Jak pan zapatruje się na grubą Bertę?

— Ja?... Nie znam żadnej, nie tylko grubej, ale nawet cienkiej! Miałbym ja dopiero od swej baby, gdyby mi się jakiejś Berty, i to grubej, na starość zachciało! Stara mi ciągle skrzeczy za uszami, że jestem stary niedołęga...

— Widzę, że radca mnie nie rozumie! Ja myślę, czy też pod sklepieniem takich lokali, jak n. p. u Wentzla, byłby człowiek bezpieczny przed grubą Bertą?

— Co też gadasz!... Mojej żonie nie jest na imię Berta, nie jest wcale grubą, a przecież nie robi sobie nic z żadnego sklepienia!... Ot, nie tak dawno, dopiero w tamtym miesiącu wyciągnęła mnie stamtąd, wyobraź sobie, po drugiej bombce... Dlatego teraz chodzę do Hawełki! Tam sala większa, więc się człek zgubi...

— Aha! To radca dobrodziej ma taką Bertę na myśli!... Jak to jednak poznać zaraz starego kobieciarza, choćby nawet w stanie spoczynku...

Poklepałem go protekcyonalnie po ramieniu, widocznie był zadowolony, przeciągnął się bowiem, aż mu stawy trzasły i podkręcił wąsa...

— A pan miałeś inną Bertę w głowie?

— Naturalnie! Tę z czterdziestodwucentimetrowym otworem!... Żelazną!...

— Otóż widzisz, mój kochany kronikarzu, to jest właśnie materya, na której ja się nie znam! Co innego polityka, co innego strategia!... Pod tym względem jestem, jak tabaka w rogu! W każdym razie nie życzę sobie wcale, aby nas tu w Krakowie te Berty odwiedziły...

— Racya! I ja jestem tego samego zdania! Ja wogóle nie lubię niepotrzebnych odwiedzin babskich... Ot i moja stara łaziła czasem za mną i nie dawała mi spokoju, a ja, szczególniej przy pilznerze, ogromnie tego nie lubię! Przez jakiś czas miałem przecież spokój i mogłem całkiem bezpiecznie rezydować „pod Obrazem“.

— A to z powodu?

— Z powodu, iż jakiś poczciwiec w środkowej hali Sukiennic wydarł takich kilka dziur w asfalcie, iż moja stara, idąc tamtędy, wykręciła sobie nogę i obcas! O nogę fraszka, ale obcas kosztował, a ona jest ogromnie oszczędna! Teraz się boi iść tamtędy, choć dziura już załatana... Pono potknął się na niej jakiś radca miejski, więc nareszcie naprawili...

— Hm! Jeśli jednak małżonka pańska chce panu zrobić niespodziankę, uskuteczni to i inną drogą...

— Właśnie, że nie! Rynkiem nie pójdzie, bo bruk niewygodny, trotoarem niebezpiecznie, może bowiem cegła spaść z dachu, na podcieniach Sukiennic wieje, a ona cierpi fluksyę... Zostaje tylko hala środkowa! Zresztą moja lepsza połowa jest bardzo oszczędną i zwykle, idąc tamtędy, coś kupi i ma satysfakcyę, że się porządnie wytargowała...

Na tem zakończyliśmy rozmowę, znalazłszy się przed drzwiami oazy „pod Palmą“, ja jednak nie wyczerpałem materyału, gdyż już od dłuższego czasu pragnąłem popełnić traktat o rzekomej oszczędności naszych pań, którym zdaje się, iż kupują bardzo tanio, jeśli mogą się porządnie wytargować.

Nie dawniej, jak rok temu, stara zafundowała mi rękawiczki włóczkowe na imieniny. Kupiła je w hali Sukiennic i cieszyła się, że zapłaciła połowę tego, ile żądała kupcowa.

— Ja tam jednak wolałbym dodać ze dwie szóstki — odpowiedziałem — i kupić n. p. u Bilewskiego. Wiedziałbym przynajmniej, iż towar dobry...

— Przekonasz się, że wytrzymają do przyszłego roku! — zawołała tonem, nie znoszącym oporu, ja jednak zdobyłem się na odwagę i dorzuciłem:

— Za tanie pieniądze psy mięso jedzą!

I pokazało się, że miałem racyę, po tygodniu pokazały się „fistuły“ już na dwu palcach. Wobec tego, że moje panie nie miały czasu na naprawienie, gdyż zajęte były karnawałem, a ja sam nie potrafię władać tak sprawnie igłą, jak n. p. nożyczkami, rękawiczki schowałem do kieszeni i tam leżały sobie spokojnie, aż nastała wiosna, a po niej lato...

Tego roku, gdy trzepano moje futro, magnifika wyciągnęła z kieszeni rękawice i, pokazując mi je z tryumfem, zauważyła:

— A cóż?... Nie miałam racyi?...

— Naturalnie — odparłem. — W tych warunkach powinny wytrzymać lat dwieście!...

Trzeba przyznać, że niewiast, które nic nie kupią, jeśli się porządnie nie wytargują, jest w Krakowie więcej, niż połowa ogółu, są nawet takie, które nie żałują nóg, wolą nawet zapłacić na Kazimierz tramwaj i napowrót, bo tam coś jest o dwa centy tańsze, niż w Śródmieściu.

Zapominają jednak, że płacąc tanio, kupują właściwie drogo, gdyż towar jest zazwyczaj drugiej, jeśli nie trzeciej sorty, a kupcy, znając swą klientelę, lubiącą się targować, podają zawsze podwójną, a nawet i potrójną cenę.

Opowiadał mi jeden z kupców, jak sobie radzi w danym wypadku z targującemi się paniami, nie chcąc stracić odbiorczyni, a chcąc postawić na swojem.

Pani X. kupuje, dajmy na to, kamasze wełniane. Zapytuje o cenę, dowiaduje się, iż kosztują sześć koron.

— Dałabym pięć! — ona na to.

— Bardzo żałuję — odpowiada kupiec — u mnie ceny są stałe...

— Hm! W takim razie nie kupię...

Ale kupiec nie w ciemię bity. Idzie do magazynu, bierze stamtąd kamasze tej samej sorty i, przedstawiając je kupującej, rzecze:

— Ot te, proszę pani, kosztują siedm koron!

— To ja dam za nie sześć! — niewiasta na to.

Kupiec się waha, wreszcie ustępuje, a odbiorczyni jest zadowolona, że „utargowała“ koronę.

Są jednak niewiasty, na które niema rady. One muszą się targować w nieskończoność.

Kupiec żąda za coś pięć koron, odbiorczyni ofiaruje tylko cztery. Targują się pół godziny, wreszcie handlarz dla miłego spokoju ustępuje.

— Niech już będzie cztery! — mówi z rezygnacyą.

— Cztery?... To ja dam trzy pięćdziesiąt!...

I poradź tu sobie z taką!.... Nic wobec tego niema dziwnego, że kupcy, mający targującą się klientelę, a nie chcący jej zrazić, muszą też i odpowiednio postępować i biorą czasem, całkiem zresztą niewinnie, na kawał kupujących.

Stare to przysłowie: „Sztuką Niemca tłuką!“...

Aby mi nikt nie mógł znowu zarzucić, iż w czasach tak poważnych poruszam same drobnostki (ładna mi drobnostka: gruba Berta!... przyp. zecera), bodaj mimochodem muszę zawadzić o sprawy polityczne, choć nie tak dawno, bo dopiero onegdaj, hr. Berchtold prosił mnie listownie, bym dał temu spokój, zwłaszcza, że moje zapatrywania na położenie obecne różnią się dyametralnie od takichże naszych sfer decydujących.

Trzeba zaś wiedzieć Szan. Czytelnikom, że z chwilą wybuchu wojny zaprenumerowali *Nowości Illustrowane* wszyscy ministrowie spraw zagranicznych z wyjątkiem czarnogórskiego, ten jednak czytać podobno nie umie. Nawet ex-sułtan Abdul Hamid uczy się na gwałt po polsku, by módz me kroniki studyować w oryginale. Miał oświadczyć wobec swego ober eunucha, iż po przeczytaniu ich zaczyna czuć się Młodoturkiem.

W pierwszym więc rzędzie poświęcić muszę żałosne wspomnienie ex-królowi Manuelowi. Młodzieniec ten, właściciel „podwiązki“ (order angielski... przyp. zecera), a pozbawiony Portugalii (proszę tego nie brać dosłownie!), zaczyna żywić nadzieje, że dzięki poparciu Anglii uda mu się może znowu wydrapać na tron lizboński. W tym celu opuszcza kabaret, gdzie dotąd z sukcesem występował, a zaciąga się w szeregi armii angielskiej. Rodacy jego gotują się do wypowiedzenia Niemcom wojny, w nagrodę za tą gotowość obiecuje im Anglia poparcie. Zamiast republiki będą mieć znowu króla.

Na najdalszem południu, bo aż w Kaplandzie, Boerzy zaczynają zalewać Anglikom sadła za skórę, Rosya zaskoczoną została całkiem niemile rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich ze strony Turcyi. Jak słychać, ma się tu do czynienia ze sojuszem Turcyi, Persyi i Afganistanu, niewiadomo jednak, czy to będzie trójprzymierze, czy też trójporozumienie.

W każdym razie jest to ważny atut, skierowany tak dobrze przeciw Rosyi, jak i przeciw Anglii, która bardzo łatwo może się teraz pozbyć Indyi i protektoratu nad Egiptem, nie mówiąc już o Kanadzie, na którą także zgłosił się amator.

Jak na jeden tydzień wiadomości politycznych dość, wypada im więc poświęcić osobną kronikę, co stanie się już w najbliższym czasie!...

Zagadki do nagrody.

Zadanie królewskie.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

fr.ı	po	przez	ni	ne	tęsk
nę	hej	ny	to	wy	grze
bił	ły	dal	hen	po	bo
żal	zı	w	gło	ję	we
re	ży	sząc	kły	by	ny
któ	ciem	za	żal	dzwo	jak

Równanie.

Ułożył S Wessglas, Tychówka.

Począ'kowe litery odpowiednio odgadniętych wyrazów utworzą nazwę zwierzątka, które w lece bardzo się nam daje we znaki. Każdy wyraz ma tyle głosek, ile wskazuje mianownik.

$$\frac{a}{4}+\frac{b}{2}+\frac{c}{6}+\frac{d}{5}+\frac{e}{5}=x$$

Znaczenie wyrazów: 1. Bogini 2 Wielkie gorąco 3. Okres czasu. 4 Ubiór. 5. Imię męskie.

Zagadka literacka.

Ułożył Zehnwirth, Lwów.

Wynaleźć po jednym utworze podanych pisarzy. Początkowe głoski ich tytułów, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko francuskiego nowelisty.

Jellenta
Kippling
Żeromski
Zapolska
Tetmajer
Przybyszewski
Orzeszkowa
Tołstoj
Rodziewiczówna
Mniszek.

Szarada.

(Obrazek pejzażowy)

Siódme - dwunaste się *szóste — dziesiąte* po zapylonej drodze, tuż stoi *piąte — szóste,* przez czas i wichry *drugie — trzecie — czwarte.* Na polu pasą się *dziewiąte — dziesiąte,* młode wesoło brykają i *jedenaste — dwunaste,* gdy stare poważnie szczypią trawę. Owdzie pasterz *drugie — ósme* bydło. Dzień już *dziewiąte — pierwsze,* noc nadchodzi i *dziewiąte — ósme* troski i smutki ludzkie Lecz *pierwsze wspak — ósme* się spostrzeżesz. gdy słońce znowu ukaże się na niebie bez *jedenastej — dziesiątej* i nowe troski owładną człowiekiem. A czy to się dzieje tam, gdzie *druga* poważnie płynie, czy też, gdzie ty, nasza *jedenasta — szósta,* wartkie swe wody toczysz, radości mieszają się ze smutkami, lecz, gdy kto zbytnio im ulega, źle na tem wychodzi, bo *całe* przecież!

tk.

Logogryf.

Ułożył Tłusty Kołodziej z Tarnowa.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, podadzą nam to, czego w ostatnich czasach obawiała się bardzo ludność Krakowa.

□ — —
— □ —
— — □
— □ —
□ — —
— □ —
— — □
— □ —
□ — —

Znaczenie wyrazów: 1. Imię żeńskie. 2 Drzewo. 3. Zmarznięta woda. 4. Rzeka w Rosyi. 5. Część ciała. 6 Dopływ Wisły. 7. Mały koń 8. Członek rodziny. 9 Rodzaj papugi.

Kwadrat magiczny.

Ułożył Sz. Kiliński, Jeleśna.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, poziomy i pionowy, utworzą nam nazwę miejsca kąpielowego w Galicyi.

□
— □ —
— — □ — —
□ □ □ □ □ □ □
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska 2 Zwierzę domowe. 3. Owad 4 Szukany wyraz. 5 Owoc południowy. 6. Gęsty las. 7. Spółgłoska.

Bilety wizytowe.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach utworzyć zawód, względnie godność poszczególnych osób.

TYTUS A. KRAK-RYZA

ALF T SIJACIO

PROT ERYK OET

SOTER N. PAW-WALB

K. M. CYPRYAN LEON JANOCKI

KAZIMIERZ N. SPOCONY

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Orsyda:* **Własną drogą.** Powieść współczesna.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 43.

Logogryf:

Allah
Ujejski
Franklin
Ferdynand
Euterpe
Nat'n
Belzebub
Ed'n
Rygor
Gołonóg.

Szarada: Z miary.

Trójkąt magiczny:

L e o n T o ł s t o j
E t y m o l o g i a
O w o c a r n i a
N u m i z m a t
T u r n i e j
O b e r ż a
Ł y d k a
S i w a
T u z
O b
J

Równanie: Komar + narcyz = **Konar.**
Kajetan + jesień = **Jesień.**

Łamigłówka literacka:

Jaroszyński
Annunzio
Nowowiejski
Krzywoszewski
Orkan
Choiński
Hamsun
Annunzio
Nagody
Ostrowski
Wójcicki
Stasiak
Korabicz
Irzykowski.

Zadanie do uzupełnienia: 1) Z deszczu pod rynnę. 2) Co rok to prorok 3) Co z oczu, to z myśli.

Szarada: Kanowa.

Bilety wizytowe: Modniarka. Krawczyni. Lakiernik. Nauczyciel muzyki. Redaktor pisma.

Zagadka: Mur — rum.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Rzeszów, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Rzeszów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Jasło, J. Broda Tarnów. M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie. M. Kłappholz Szczawwnica, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów. A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Sanok, S. Wiewiórowski Przemyśl, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Jarosław, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Jasło, W. Błoński Kraków, S. Sygnarska Tarnów, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, J. Trepka Sandomierz. W. Krzywicki Jasło K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Częstochowa, K. Leszczyński Jasło, E. Laskowski Nisko, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Jasło, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Tarnów, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, K. Radoszewski Tarnobrzeg, H. Obst Jasło, S. Rogalski Tarnów, J Wilkosz Rzeszów, I. Brzostowski Krosno.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Ciesielski, Rzeszów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Pod znakiem wojny.

(Kącik humorystyczny).

Złośliwa.

— A jednak, jak widzę, pani Lola kocha przecież swego męża! Widziałam na własne oczy, jak odprowadzała go osobiście na kolej, gdy odjeżdżał, powołany do wojska... Czekała aż do chwili, dopóki pociąg nie ruszy!

— Tak!... Bo chciała się przekonać na własne oczy, czy na prawdę odjechał!...

Z geografii strategicznej.

— Dlaczego Petersburg przezwano na gwałt Petrogradem?

— Aby jenerał Hindenburg nie znalazł tej miejscowości na mapie i tam nie trafił!...

Dobra rada.

Każdy poczciwy Polak ma swego żydka, którego darzy swem zaufaniem, dzieli się z nim swymi kłopotami, zasięga rady i pomocy w potrzebie, słowem, obejść się bez niego nie potrafi.

Pod tym względem nie różni się od nas car Mikołaj, który, choć Moskale Żydów nie lubią, ma także swego starozakonnego zausznika.

Gdy do Petrogradu nadeszła wiadomość o „chlubnem" cofaniu się wojsk rosyjskich w Galicyi, samodzierżca wszech Rosyi siedział w swym gabinecie i myślał, ale wcale nie wesoło.

Dumanie przerwał jego nadworny Szlomka, któremu wolno było wchodzić do cesarskich apartamentów bez meldowania.

Stanął, podrapał się w to miejsce, gdzie powinny u prawowiernego syna Izraela rosnąć pejsy i pyta:

— Wielmożny pan cysarz ma jakieś zmartwienie?...

— Tak! — odparł Mikołaj, budząc się z zadumy. — Ale ty mi nic na to nie pomożesz...

— Proszę tylko powiedżycz! Niema na świecie takiej rzeczy, w którejby żydek nie potrafił pomódz!...

— No! W takim razie słuchaj! Dimitriew nie zdobył Przemyśla, z Węgier nas wypędzono, lada dzień stanie się to samo w Galicyi...

— Oj waj!... To jest niedobrze!... To jest całkiem niedobrze!... Tego Dimitriewa trzeba posłać w duraki, Węgry dla nas niepotrzebne, a jeśli w Galicyi źle się wiedzie, to niech wielmożny pan cysorz każe ją prędko przepisać na nazwisko wielmożnej pani cysarzowy... Nasze żydki zawsze tak robią, jeśli interes jest niepewny!... Ja znam jednego mecenasa, on to zrobi bardzo tanio!...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego